



Andrzej Wajda

1926–2016

- **Kino Andrzeja Wajdy** analizuje Barbara Hollender →A10
- **Teatralne sukcesy mistrza** przypomina Jacek Cieślak →A12
- **O Wajdzie – malarzu** pisze Monika Małkowska →A13
- **Komentarz** Bogusława Chraboty →A2
- Zmarłego filmowca wspominają: Jiří Menzel, Daniel Olbrychski, Jerzy Hoffman, Jan Nowicki, Jacek Bromski →A12
- Volker Schlöndorff: Indywidualista i samotnik →A13 ■ Reakcje mediów →A13



Komentarz „Rzeczpospolitej”

Za co dziękować Wajdzie

BOGUSŁAW CHRABOTA

Zegnać Andrzeja Wajdę to coś więcej, niż żegnać wybitnego twórcę. Pożegnanie Wajdy to pożegnanie półwiecza polskiego kina, na którego losy wpłynął bardziej intensywnie niż rówieśnicy. Był niewątpliwie twórcą szczęśliwym, jeżeli szczęście można mierzyć rozgłosem, sławą, liczbą tytułów, nagród i sukcesów.

Trudno sobie wyobrazić polskie kino bez filmów „Kanał”, „Popiół i diament”, „Ziemia obiecana” czy „Wszystko na sprzedaż”. Miał genialną rękę do obsady. Szczęśliwi byli aktorzy, których wybierał. Stworzył niezapomnianą plejadę gwiazd, z których korzystali inni. Był więc twórcą pobłogosławionym przez współczesność. Docenionym za życia.

W miarę, jak stawał się artystą narodowym, rosła w nim też potrzeba uczestniczenia w życiu publicznym Polski. Jedni mają mu to za złe, inni za dobre. Ja w jego wyborach politycznych chcę się doszukiwać przede

wszystkim odwagi, bo łatwo jest stać z boku i komentować rzeczywistość. Dużo trudniej wziąć odpowiedzialność na siebie. Zmierzyć się z czasami. Miał tę odwagę, jak mało kto.

Zastanawiam się, za co mu dziękować najbardziej. Czy za obrazy XIX-wiecznej Łodzi z „Ziemi obiecanej”, które wbiły mnie – nastolatka – w fotel swoją plastycznością i wyrafinowaniem? Czy za nostalgiczną wizję młodości z „Kroniki wypadków...”? A może za heroiczną wizję triumfu i klęski wielkiego Dantona? Sceny z wszystkich tych filmów mam dziś przed oczami, jak pewnie każdy z ludzi, którzy cenili jego twórczość. Tylko tytuły się zmieniają. Bo każdy miał swojego Wajdę.

Nie będzie już nowych filmów. Nie będzie jego głosu w sprawach publicznych. Nie będzie nerwowych komentarzy, czy tym razem się mylił, czy miał rację. Tym ważniejsze wszystko, co po nim zostanie. ©© ➔A10-13



Andrzej Wajda

Autorytet Polski i świata

POŻEGNANIE | Odszedł artysta, który swoimi filmami pokolenia Polaków uczył niezłomności, niezależności i godności.

BARBARA HOLLENDER

Trudno sobie wyobrazić bez niego nasze kino. Trudno sobie wyobrazić bez niego Polskę. Wydawał się niezniszczalny. Trwał. Zawsze był. Brzmi to patetycznie, ale tak jest.

Zmieniały się epoki, nad krajem przetaczała się historia, a Andrzej Wajda wciąż przypominał o naszych korzeniach, zadawał pytania: „Kim jesteśmy?”, „Skąd przyszliśmy?”, „Dokąd idziemy?”.

Był jednym z ostatnich w Polsce prawdziwych autorytetów. Tak bardzo dzisiaj potrzebnych. Człowiekiem mądrym i odważnym, który w przenikliwy sposób patrzył na naszą historię i dzień dzisiejszy. Był wreszcie nauczycielem młodych, dla których założył szkołę.

Cieszył się wielkim szacunkiem środowiska filmowego, kochali go widzowie. Podczas ostatniego festiwalu w Gdyni wydawał się królem życia. Idąc, opierał się na balkoniku, ale był w fenomenalnej formie. Szczególnie, uśmiechnięty. Pokazał ostatni film „Powidoki” o malarzu Władysławie Strzemińskim. Ale śmiał się:

– Wciąż mam przekonanie, że to dopiero początek. Dziewięćdziesiąt lat to nie jest tak dużo. Mam zamiar zrobić następny film.

Listy od widzów

Andrzej Wajda zmarł w warszawskim szpitalu 9 października. O jego śmierci zaledwie kilka godzin później informowały wszystkie światowe media. „Odeszła legenda światowego kina” – napisano we francuskim dzienniku „Le Monde”. Nic dziwnego. Odszedł jeden z ostatnich wielkich twórców, którzy w XX wieku uczynili z ruchomych obrazów sztukę: Bergman, Antonioni, Visconti, Kurosawa, Buñuel, Resnais, teraz Wajda. Odchodzą ludzie, którzy wierzyli, że „kino może zmieniać świat”.

Tutaj, nad Wisłą, Andrzej Wajda był kimś więcej niż reżyserem.

Powiedział mi kiedyś: – Przez lata pracy w PRL-u przyzwyczaiłem się do rozmowy ze społeczeństwem. Moje filmy docierały do tych, którzy rządzą i do tych, których ceniłem wysoko – intelektualistów, pisarzy. Ale przede wszystkim do widzów. Wciąż przechowuję listy od ludzi z małych miasteczek. Zastanawiałem się, czy mój film będzie się podobał w Suwałkach, czy zaakceptuje mnie Łódź. To Polska, z którą rozmawiałem.

Dziś w sztuce granice zacierają się coraz bardziej. Globalizacja zrobiła swoje, młodzi artyści mówią, że mogą pracować,

w każdym kraju. Mistrzowie kina XX-wiecznego uniwersalizmu szukali na swych podwórkach. Kurosawa nie istniałby bez japońskiej tradycji, Fellini bez ukochanego Rzymu, Bergman bez chłodu Szwecji. Kino Wajdy też było wrośnięte we własny kraj. Opowiadało o ludziach uwikłanych w narodową historię, niemal każdy film był próbą określenia tożsamości Polaków.

– Zawsze myślałem, że jeśli będę pracować gdzieś daleko, to ekipa techniczna będzie wiedziała o otaczającej mnie rzeczywistości więcej niż ja – mówił. – Tu zaś miałem swoje porachunki i publiczność.

Wojenne rozrachunki

Swoje korzenie określał najprościej: „Oficerski dom, patriotyczna szkoła i Kościół”. Urodził się w Suwałkach 6 marca 1926 roku. Jego ojciec jako 16-latek wstąpił do Legionów, potem został oficerem, służył w Garnizonie 72. Pułku Piechoty w Radomiu. Kiedyś zapytałam Andrzeja Wajdę o dzieciństwo i wojnę, tak ważną w biografii jego pokolenia. Odpowiedział: – Zawsze chciałem być dorosły. A wojna? Ojciec poszedł walczyć i nigdy nie

”
Tak mówił o swych korzeniach: oficerski dom, patriotyczna szkoła i Kościół

wrócił, wszystko waliło się w gruzy. Widziałem, jak upada świat moich rodziców i nastaje inny. Po tych doświadczeniach historia niczym nie mogła mnie już zaskoczyć.

W 1939 roku Andrzej Wajda miał 13 lat. Pojechał do Lwowa, chciał się dostać do Korpusu Kadetów. Nie udało się. Czas okupacji spędził w Radomiu, potem w Krakowie, u stryja. Pracował w jego zakładzie ślusarskim, a wieczorami siadał na balkonie i rysował wąskie uliczki Salwatora. Po wojnie zdał do krakowskiej ASP, ale studia malarskie go zawiadyły. Zwłaszcza że w 1948 roku zaczął się czas socrealizmu.

Po trzech latach rzucił ASP. W gazecie przeczytał, że jest nabór do szkoły filmowej w Łodzi. Pojechał. Dostał się. Kino stało się jego pasją. Jego życiem. Na przełomie lat 50. i 60. dzięki filmom jego, Munka i Kawalerowicza narodziła się „szkoła polska”. Antoni Bohdziewicz po raz pierwszy użył

tego określenia po premierze „Pokolenia”.

Odtąd zawsze Andrzej Wajda towarzyszył Polakom. To z jego filmów pochodzą niezapomniane, symboliczne sceny naszego kina. Kieliszki spirytusu płonące na barze jak znicze za tych, co zginęli. Maciek Chelmiński konający na śmietniku historii. Powstańcy dochodzący kanałem do zakratowanego wjazdu, za którym majaczy Wisła ze stojącymi przecież na drugim brzegu radzieckimi czołgami. Korczak prowadzący dzieci na śmierć – parami, jak na wycieczkę. Młoda reżyserka biegnąca po telewizyjnym korytarzu i rzucająca na szalę wszystko, by odkryć prawdę o kawalku polskiej historii. Kilkunastominutowa wstrząsająca sekwencja mordowania oficerów w Katyniu.

Zaraz po październikowej odwilży, w 1957 roku, odbyła się premiera „Kanału”, filmu o powstaniu warszawskim. Opowiadanie Jerzego Stefana Stawińskiego trafiło najpierw do Andrzeja Munka, ale ten wywodzący się z dokumentu artysta nie zdecydował się: „Kanały to ciemność i smród, a tego na ekranie nie da się pokazać” – zawyrokował. A Wajda zrobił „Kanał” tak, że widz poczuł odór ścieków, rozpacz i determinację tych, którzy w mrokach, pod chodnikami umierającego miasta brnęli do wjazdu, za którym nie było już wolności.

– Nie obchodziły mnie oceny polityczne i militarne powstania – mówił mi. – Opowiedziałem wtedy historię ludzi, którzy zerwali się do walki, bo nie umieli i nie chcieli żyć w niewoli.

Z wojną Wajda rozliczał się też w „Lotnej”, w „Krajobrazie po bitwie” pokazywał deformacje psychiczne wywołane przejściami w obozie koncentracyjnym, a wreszcie w 2007 roku nakręcił „Katyń”.

Polskie dylematy

Towarzyszył też polskim przemianom po 1945 roku. Jednym z jego najważniejszych dzieł jest ekranizacja powieści Jerzego Andrzejewskiego „Popiół i diament”, również powstała na fali popaździernikowej odwilży.

– Dzięki Zbyszskowi Cybulskiemu Maciek Chelmiński stał się symbolem pokolenia – przyznawał reżyser. – Stał w obliczu dylematu „być albo nie być”. Jak polski Hamlet.

Po 1989 roku pojawiały się głosy, że pokazując polityczne podziały powojennej Polski i w dobrym świetle kreśląc postać sekretarza partii Szczuki, zrobił obraz prokomunistyczny. Przedziwna interpretacja, bo Wajda opowiadał o przegranej polskiej inteligencji, o oszukanych i straconym wojennym pokoleniu akowców.



„Kanał” 1956 r.



„Popiół i diament” 1958 r.



„Ziemia obiecana” 1974 r.

Nigdy nie uciekał od trudnych tematów. Nie mówił, że jeszcze za wcześnie na analizy i podsumowania. Wykorzystywał każdą polityczną odwilż, żeby opowiadać o rzeczywistości i zapępiać na ekranie białe plamy polskiej historii. W 1965 roku powstały „Popioły”, nakręcone według powieści Stefana Żeromskiego. Wajda zrobił film krytyczny wobec rodaków, gorzki, ale mądry. Pytał, czym jest wolność narodu i jak można o nią walczyć. I wywołał burzę. Socjalistyczna krytyka oskarżyła go o antypolskość i rewizjonizm.

– Zarzucano mi, że pokazuję Polaków służących niesłusznej sprawie – tłumaczył mi. – Odpowiedziałem: „To film według Żeromskiego, a nie Sienkiewicza”. A Żeromski uznawał, że trzeba demaskować pozory historii.

Lata 70. to dla Andrzeja Wajdy czas wyjątkowy. W 1977 roku odbyła się premiera „Człowieka z marmuru” – wielkiego fresku politycznego pokazującego oszustwo komunizmu. Wajda myślał o tym temacie już na początku lat 60., gdy Jerzy Bossak opowiedział mu historię zbuntowanego i zrzuconego z piedestału murarza – przodownika pracy z początku lat 50. Ale w tamtym czasie film był nie do zaakceptowania przez władzę. Wajda wrócił do tego pomysłu po przeszło dekadzie. Młoda dokumentalistka dążąca do prawdy zagrała Krystyna Janda.

– Nikt wtedy jeszcze nie znał Lecha Wałęsy – mówił reżyser. – A na ekranie pierwszy raz pojawił się obrońca ludzi pracy niewywodzący się spośród inteligencji. Mateusz Birkut był prostym robotnikiem. Gdy sam doznał niesprawiedliwości, rzucił w okno budynku Urzędu Bezpieczeństwa cegłę, pamiętkę swego pierwszego rekordu.

Radomski Czerwiec i powstanie KOR-u zaostrzyły politykę państwa. Dzieło Wajdy miało ograniczoną dystrybucję, na festiwalu w Gdańsku pominięto je w werdykcie, a władze nawet na informację o nagrodzie dziennikarzy nałożyły cenzorski zapis. Ale trzy lata później w stoczni robotnicy powiedzieli Wajdzie: „Niech pan teraz zrobi film o nas”. „Jaki film?” – spytał. „Człowieka z żelaza”.

No i powstał – doraźny i reporterski – a jednocześnie porównujący zapis Sierpnia '80. Jego bohaterem był syn Birkuta Maciek, który znalazł się wśród strajkujących stoczniowców – na miejsce ojca, który zginął w protestach 1970 roku na Wybrzeżu.

Wielka literatura

Fascynujące były też jego ekranizacje polskiej klasyki. Niewiele jest w historii naszego kina adaptacji równie zniewalających jak „Wesele”. A za najlepszy polski obraz 50-lecia czytelnicy „Filmu” uznali inne dzieło Wajdy z lat 70. – „Ziemię obiecaną”. Ekranizacja prozy Reymonta o trzech współnikach – Polaku, Niemcu i Żydzie, którzy nie mają nic, a więc dokładnie tyle, by razem założyć fabrykę – to opowieść o początkach kapitalizmu.

– Jak robi się filmy, trzeba mieć szczęście – mówił Wajda. – Ciągłe jeszcze istniała wtedy Łódź jak sprzed wojny. Były nawet fabryki, które wciąż pracowały na maszynach z Manchesteru. Miałem do dyspozycji świat z przełomu XIX i XX wieku.

Film dostał nominację do Oscara. A 25 lat po premierze

„Ziemia obiecana” znów trafiła na polskie ekrany, odrestaurowana. W nowej Polsce, w drańskim młodym kapitalizmie nabrała dodatkowych znaczeń. Pokazywała mechanizmy sukcesu i cenę, jaką trzeba czasem za niego zapłacić.

Wajda zostawił nam również inne obrazy, które robił, bo musiał odetchnąć, musiał też dać odetchnąć cenzorom. Wtedy sięgał po inną literaturę – głównie Iwaszkiewicza. Tak powstały „Brzezina” czy „Panny z Wilka”.

– Uciekałem w takie tematy, gdy cenzura stawiała się ostrzejsza – przyznawał reżyser. – Ale też chciałem pokazać jakiś inny świat.

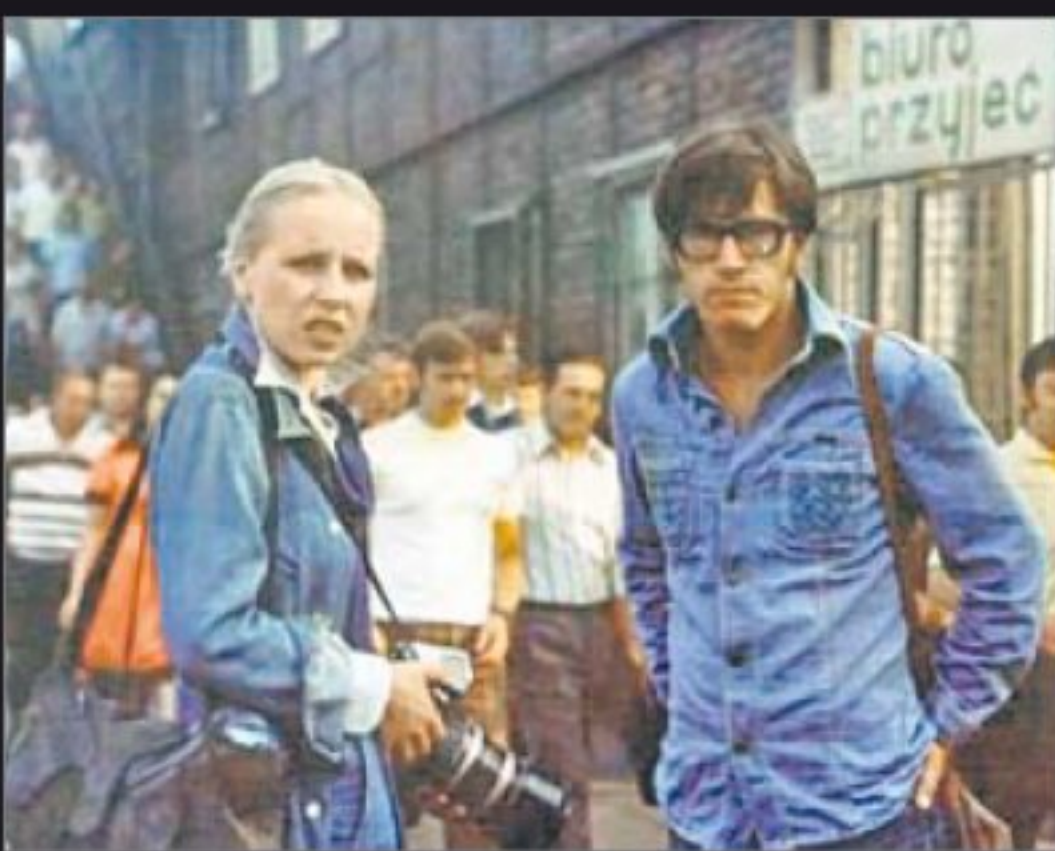
„Panny z Wilka” okazały się perłą. – Byłem po „Ziemi obiecanej”, „Człowieku z marmuru”, „Bez znieczulenia”. Myślałem: „Kto będzie oglądał »Panny z Wilka«? Przecież te kobiety, żyjące same dla siebie, nie mogą wzbudzić ekscytacji widza”. Dopiero moja żona Krystyna, grająca w tym filmie Kazię, uświadomiła mi, że może cieszyć słońce, które przebijają przez liście i oświetla twarze moich bohaterów.

„Panny z Wilka” – wspomnienie czegoś, co odeszło, smaków dzieciństwa, konfitur w spizarni, niespiesznie parzonej herbaty – niosły tęsknotę, wzruszenie, ale też westchnienie za dawnymi wartościami i przemijaniem. Przekonały nawet pragmatycznych Amerykanów. Ten film przyniósł Wajdzie drugą nominację do Oscara.

Słowa i obrazy

Swoje drażniące władzę filmy nakręcił w czasach PRL-owskiej cenzury. Dlatego gdy

Andrzej Wajda
(1926–2016)
zmarł w niedzielę
w warszawskim
szpitalu



„Człowiek z żelaza” 1981 r.



„Pan Tadeusz” 1999 r.



„Katyn” 2007 r.

tych obrazów widowni. Moi widzowie siedzieli przed telewizorem, a młodzi czekali na coś zupełnie innego.

Holokaustowy „Wielki Tydzień” też rozminął się z publicznością, podobnie jak „Panna Nikt” – opowieść o zmianach obyczajowych zachodzących w kraju po transformacji. Wajda odnalazł się dopiero w 1999 roku, gdy zaskoczył widzów wspaniałą, pełną energii i witalności ekranizacją „Pana Tadeusza”. Znów wyczuł społeczne nastroje, zrozumiał, że w zmieniającej się rzeczywistości u progu XXI wieku Polacy zaczynają szukać własnej tożsamości. Poszedł dalej tym tropem, kręcąc „Zemstę”, jednak zdawał sobie sprawę, że na tej lekturze musi się już zatrzymać.

Nakręconym w 2007 roku „Katyniem” chciał zamknąć swoje rozliczenia z historią. To film bardzo osobisty. Ojciec Wajdy po 17 września 1939 roku dostał się do sowieckiej niewoli. Został zamordowany w Charkowie wiosną 1940 roku, o czym rodzina dowiedziała się dopiero po 1998 roku.

– W 1943, kiedy Niemcy odkryli groby w Katyniu, na liście zamordowanych znalazł się kapitan Karol Wajda, inne imię, ale stopień i nazwisko jakiego ojca – opowiadał. – Pamiętam rozpacz matki, która umarła w 1950 roku, ale do swoich ostatnich dni ludziła się, że ojciec wróci. Po wojnie władze PRL utrzymywały, że to była zbrodnia niemiecka. Również o tym kłamstwie chciałem opowiedzieć.

„Katyn”, kończący się wstrząsającą sekwencją mordowania polskich oficerów strzałami w tył głowy, miał być ostatnim wielkim freskiem historycznym Wajdy, ale stało się inaczej. Gdy politycy związani z PiS-em zaczęli niszczyć mit Lecha Wałęsy, oburzony mistrz powiedział: „Nie chcę, ale muszę”.

Do tej pory robił filmy o ludziach wpłatanych w tryby dziejów. Teraz opowiedział o prostym robotniku ze stoczni, który wyrósł najpierw na ludowego trybuna, a potem na przywódcę narodu. „Wałęsa. Człowiek z nadziei”, którego lejtmotywy stała się rozmowa Wałęsy z Orianą Fallaci, zaczyna się w roku 1970, a kończy 15 listopada 1989 roku, gdy w Kongresie Stanów Zjednoczonych Lech Wałęsa wygłasza słynne przemówienie, zaczynające się od słów: „My, naród”.

Wajda, pytany dlaczego zatrzymał się w tym momencie historii, odpowiadał: „Zrobiłem filmy o ludziach z marmuru i żelaza, byłem winny sobie i widzom film o człowieku, który obudził naszą nadzieję. A co było dalej? Niech o tym opowiadają inni”. Tym razem chciał złożyć cześć człowiekowi, który kiedyś wskoczył na bramę stoczni, i podtrzymać narodowy mit.

A potem, na motywach prozy Jarosława Iwaszkiewicza, zrealizował „Tatarak” o śmierci, życiu, młodości i sztuce. Film w filmie. Pokazał ekipę ekranizującą powieść, lecz przede wszystkim dodał monolog Krystyny Jandy. Bolesny,znaczony głębokim cierpieniem powrót do czasu, gdy chorował i umierał jej mąż.

Ten film Wajdy stał się głosem o istocie sztuki, o aktorstwie, o cenie, jaką płaci się za jego uprawianie, o tym, ile artysta daje z siebie. Za ten przejmujący obraz w 2009 roku dostał na festiwalu w Berlinie nagrodę Alfreda

Bauera. Za innowacyjność. Bo choć w „Tataraku” były mądrość i cierpienie człowieka doświadczającego, jego języka nie powstydziłby się żaden poszukujący twórca młodego pokolenia.

Testament artysty

Stary mistrz to nietatwa rola. Do Ingmara Bergmana młode pokolenie szwedzkie zgłaszało pretensje, że przez lata przydużał indywidualności młodych reżyserów. W Polsce u progu nowego wieku część krytyki wymyśliła konflikt między debiutantami a „baronami” kina. Wajda, który w latach 70. prowadził Zespół X, gdzie objawiły się talenty Agnieszki Holland, Feliksa Falka, Janusza Kijowskiego i kilku innych twórców kina moralnego niepokoju, w odpowiedzi założył swoją Mistrzowską Szkołę Reżyserii, dziś noszącą nazwę Szkoła Wajdy. Świetni młodzi artyści mówią, że tam właśnie odnaleźli swoją drogę. Są wśród nich także tegoroczni debiutanci: Jan P. Matuszyński i Grzegorz Zariczny.

A co mówił im Andrzej Wajda? – Jeśli pracujecie w Polsce, to kręćcie filmy, jakich w Hollywood za was nie robią.

Szkoła była dla Wajdy ogromnie ważna. Ważny był też Kraków. Uciekał do niego, ilekroć nie miał zajęć w Warszawie. Tam znajduje się Muzeum Sztuki Japońskiej Manggha, na którego wybudowanie przekazał nagrodę, jaką dostał w Tokio w 1987 roku.

Najważniejszą osobą, która towarzyszyła mu przez ponad 30 lat, była czwarta żona, scenografka i aktorka Krystyna Zachwatowicz. To jej dziękował ze sceny Teatru Muzycznego, gdy koledzy fetowali jego 90-lecie, a on po raz pierwszy w Polsce pokazał „Powidoki”. Ten film nam zostawił. Jak testament.

Andrzej Wajda miał nieprawdopodobne wyczucie tematu. W swoim ostatnim dziele opowiedział o losach wybitnego malarza Władysława Strzemińskiego po roku 1945, gdy został on wykładowcą w łódzkiej Szkole Sztuk Plastycznych. Uczył studentów patrzenia na świat. Tego, żeby być sobą. Ale nie pasował do koncepcji realizmu socjalistycznego. Został zmiażdżony przez komunistyczne państwo. Pozbawiony prawa do wykładania, do pracy, do życia. Głodował, nie miał za co kupić farb, umarł w 1952 roku na gruźlicę. Artysta, który podczas I wojny światowej stracił nogę i rękę, nauczył się ze swoim kalectwem żyć. Ale był bezsilny wobec głupoty i nienawiści systemu. A jednocześnie dość silny, by nie wyrzec się siebie.

Wajda zrobił wielki film polityczny. Pokazał tragizm czasu, w którym władza chce decydować o kształcie sztuki. Dziś „Powidoki” zabrzałyby jak wielkie ostrzeżenie.

Andrzej Wajda miał Oscara za całokształt twórczości, cztery nominacje do tej statuetki w kategorii filmu nieangielskojęzycznego, Złoty Glob, canneńską Złotą Palmę, berlińskiego Złotego Niedźwiedzia, weneckiego Złotego Lwa, francuskiego Cezara, brytyjską BAFTA i wiele innych nagród. Ale tę największą dostał od swoich widzów. Tych, którzy zawsze z nim byli. Dla których był ważny. Dopóki będziemy wracali do jego filmów, Andrzej Wajda pozostanie wśród nas. ©©

po 1989 roku ona zniknęła, nie musiał nadrabiać zaległości. Natomiast po latach irytowały go głosy, jakie czasem słyszał z ust skrajnej prawicy:

– Niektórzy chcą pomniejszyć znaczenie naszej twórczości. „Ona jest oceniana” – mówią. I co z tego? Widzowie, którzy przychodzili do teatru, do kina, świetnie rozumieli, co do nich mówiliśmy. Musieliśmy wziąć udział w pojałtańskiej rzeczywistości, żeby stworzyć w przyszłości coś, co będzie zgodne z naszymi wyobrażeniami o Polsce. Poszerzaliśmy granice wolności wolno, krok po kroku... No i skończyło się zwycięstwem „Solidarności” i wyborami ’89 roku.

Oczywiście, bywało trudno. Życie artysty w PRL-u było nieustannym lawirowaniem. Nie wolno było się zagapić i nie wykorzystać chwili odwilży. Wajda potrafił to doskonale. Niektóre jego projekty czekały latami. Scenariusz „Człowieka z marmuru” udało się skierować do realizacji po 13 latach. „Przedwiośnia” nie zrobił nigdy, choć pierwotny scenariusz napisał dla niego Antoni Słonimski w 1960 roku.

– Na szczęście wśród ludzi rządzących wtedy kinematografią było wielu entuzjastów – mówił. – Może dlatego szefowie kinematografii zmieniali się tak często, a my mogliśmy robić następne filmy.

A poza tym była ta publiczność: wrażliwa, wyczułona na aluzje, potrafiąca odczytywać każdy podtekst.

– Słowa niosły ideologię i pierwsze padały łupem cenzury – twierdził też Wajda. – Może dlatego polskie kino jest przede wszystkim kinem obrazu. Bo jak ocenzurować Zbyszka Cybulskiego konającego na wysypisku śmieci? Jedni, z cenzorami

na czele, uważali, że „Popiół i diament” to woda na młyn komunistów – przeszłość wyrzucana na śmietnik historii. A inni mówili: „Powstańca w ciemnych okularach wyrzucili na śmietnik. Więc tam leżą nasze najdroższe wartości”. Uczestnicząc w takich grach, nauczyłem się różnych sposobów porozumiewania się z widownią. W „Kanał” Stokrotka i Korab dochodzą kanałem do kraty. Stokrotka mówi, jak pięknie jest tam, dalej, a widz widzi szarą rzekę. Wszyscy wiedzą, że to Wisła. A co jest po drugiej stronie? To, co wszyscy wiedzą, a czego nie można pokazać ani powiedzieć. Sowieckie czołgi.

W „Człowieku z marmuru” w ostatniej sekwencji stoczniovcy mieli na drzwiach nieś zabitego kolegę. Cenzura się nie zgodziła, Wajda zrezygnował. Co więcej, we Włoszech sam sobie ocenzurował znakomity plakat – z głową, z której wychodziły sierp i młot. Bo kto po takiej manifestacji dopuściłby do rozpowszechniania filmu w Polsce?

– Przy „Człowieku z żelaza” dostałem kartkę z 21 punktami, co mam z filmu wyrzucić – wspominał. – Więc nawet gdy władza wymykała się już komunistom z rąk, nadal w moje filmy ingerowali. Gdyby nie telegrafy z hut i wielkich zakładów pracy, pewnie musiałbym wszystko wyciąć. A nie wyciąłem niczego.

Dziennikarze pytali Andrzeja Wajdę, dlaczego nie wyemigrował, tylko borykał się z cenzurą i układami. – Wiedziałem, co mam do powiedzenia moim rodakom – odpowiadał. – W Hollywood byłbym tylko wykonawcą cudzych pomysłów. Więc kiedy patrzę z perspektywy, to myślę, że dobrze zrobiłem, zostając w kraju. Na dobre i na złe, na powodzenia i niepowodzenia.

Kilka obrazów, m.in. „Danton” i „Piłata i innych” nakręcił na Zachodzie, ale zawsze najlepiej czuł się w kraju.

Ulubieni aktorzy

Zawsze twierdził, że są dwa momenty, w których reżyserowi potrzebne jest natchnienie: przy wybieraniu tematu i przy angażowaniu aktorów. Jego filmy wypromowały w świecie całe pokolenie artystów. Zbigniew Cybulski, Daniel Olbrychski, Andrzej Seweryn, Wojciech Pszoniak, Krystyna Janda, Jerzy Radziwiłowicz – ich talent rozkwitł właśnie w filmach Wajdy.

On uważał, że pracy z aktorem nauczył go teatr, do którego wracał regularnie od czasu, gdy Zygmunt Hübner jeszcze w latach 50. namówił go do wyreżyserowania „Kapelusza pełnego deszczu” ze Zbigniewem Cybul-

wionym przez Jerzego Jarockiego w szkole teatralnej, Daniela Olbrychskiego podarował mu do „Popiołów” Jan Kreczmar, który był rektorem szkoły teatralnej. Nakręcili razem 13 filmów. Olbrychski, podobnie jak dwaj pozostali aktorzy z „Ziemi obiecanej” – Wojciech Pszoniak i Andrzej Seweryn, zrobili karierę światową.

Wpłatany w politykę

W 1989 roku w wyniku wyborów 4 czerwca Andrzej Wajda został senatorem RP.

– Kiedy inni zakładali KOR, ja uważałem, że muszę robić filmy i nie mogę iść na konfrontację z władzą – powiedział mi. – Ale w 1989 roku pomyślałem, że skoro przez lata wypowiadałem się w narodowych sprawach poprzez filmy, to kiedy dzieje się w Polsce coś ważnego, nie mogę nagłe

„ We wrześniu w Gdyni powiedział: – 90 lat to nie jest tak dużo. Mam zamiar zrobić następny film

skim. I to on zajął w jego twórczości szczególne miejsce. Wajda długo się wahał, czy zaangażować go do „Popiołu i diamentu”. Przekonał go Janusz Morgenstern. I mało znany aktor stał się niemal symbolem pokolenia. Potem ich drogi się rozeszły, ale po śmierci Cybulskiego Wajda sam, co w jego przypadku było ewenementem, napisał scenariusz filmu „Wszystko na sprzedaż”. To było ich pożegnanie.

Inni trafili do jego filmów różną drogą. Krystynę Jandę znalazł podczas próbnych zdjęć, Jerzego Radziwiłowicza wypatrzył w „Weselu” wysta-

zdeztererować. Zgodziłem się kandydować do Senatu. „Solidarność” łatwiej mogła uzyskać akceptację wyborców, gdy nazwiska jej kandydatów coś ludziom mówiły.

Nie żałował czasu, jaki spędził przy ulicy Wiejskiej. Ale potem nietatwo było wrócić za kamerę. Wolność zmieniła sytuację naszej kinematografii. – Wydawało mi się, że w wolnej Polsce będę mógł robić filmy, które kiedyś zatrzymała mi cenzura – wyznał. – Ale gdy nakręciłem „Pierścionek z orłem w koronie”, otrzeźwiałem. Zrozumiałem, że nie ma już dla